

1. W S T Ę P - Dla zobrazowania dlaczego znalazłem się w Zw.Radz.?  
-----

Ojciec - Wincenty Miładowski (rocznik 1899) był w wojsku polskim w czasie I wojny światowej. Zgłosił się ochotniczo i został wcielony do Pułku Jazdy Tatarskiej - formowanego w okolicach Nieświeża i Klecka, gdzie zamieszkiwały duże grupy zpojonizowanych Tatarów i oni byli inicjatorami utworzenia pułku. Po 1920 r ojciec w stopniu wachmistrza został przeniesiony do rezerwy i jako wojskowemu nadano ziemię - 25 ha w miejscowości Nowosiółki gm. Sieniawka pow. Nieśwież. Przez kilka lat był wójtem w gm. Siniawka. Z miejscową ludnością był w dobrych stosunkach. Od podstaw wybudował zabudowania gospodarcze, założył rodzinę.

W 1940 r było nas w domu sześć osób - rodzice i czterech braci: ja - Zbigniew - rocznik 1926, Ryszard - brak przyrodni - rocznik 1926, Jerzy - rocznik 1928 i Zdzisław - rocznik 1930.

2. Z S Y Ł K A  
-----

W lutym (o ile pamiętam, 10 - go) 1940 r zjawili się w naszym domu trzech uzbrojonych żołnierzy. Była godz. około czwartej nad ranem. Ojca posadzono na krześle przodem do ściany i ogłoszono, że mamy 2 godz. na spakowanie najpotrzebniejszych rzeczy i będziemy wysiedleni. Dokąd nikt nie wiedział i tego ci żołnierze też nie wiedzieli.

Zacząła się krzątanina nas dzieciaków. Zaczęliśmy więc pakować swoje drobiazgi, książki, zeszyty, zabawki. Ojciec czując co się dzieje zaczął wydawać rozkazy co mamy brać. Powiedział, że pakować ubrania, bieliznę, kołdry, koce i jedzenie. Zaczął przekonywać tych z ochrony, że przecież nie ucieknie i nie zostawi rodziny na pastwę nieznanego losu. Po godzinie żołnierze widocznie przekonani pozwolili ojcu włączyć się do pakowania, wtedy dopiero okazało się jak doświadczenie i rozsądek miały znaczenie co zabrać a czego nie pakować. Pierwsze co okazało się istotne to poprosił sąsiada Kuncewicza - białorusina ażeby zabił świniaka i porząbał na kawałki, dalej kilkanaście sztuk drobiu i przyniósł kilka bochenków chleba.

A trzeba wiedzieć, że zima była sroga bo około  $-20^{\circ}\text{C}$ . Tak więc mięso i drób zaraz zamarzało i nie psuło się tak łatwo. Żołnierze z ochrony przekonali się, że ojciec nie ucieknie i nawet razem wypili po szklance wódki i zaraz atmosfera się poprawiła i pakowanie szło sprawnie.

Ochrona kazała zaprząć własne konie do sań i wynosić pakunki. Tak więc zabraliśmy tobołki z odzieżą, jedzeniem i ładowaliśmy na sanie. Muszę dodać tu trochę zabawną historię - bo mieliśmy duży rower który nam ojciec kupił ażeby cała czwórka nauczyła się jeździć. Kiedy żołnierze nie godzili się na jego zabranie - uderzyliśmy w ryk. Jak to, taki nasz rower zostawić. W końcu ojciec uprosił żołnierzy i załadowaliśmy go na sanie. Podobnie było z radiem t.zw. kryształkowym na akumulator. Pozwolono zabrać też to radio, w którym zresztą później mieliśmy nieprzyjemną sprawę w wagonie, bo wylał się elektrolit i popalił nam ubrania i buty.

Po załadowaniu ruszamy wszyscy w komplecie na naszych bagażach do stacji Niedźwiedzice 10 km od domu. Po drodze widzimy, że nie tylko my jedziemy. Dużo takich sań jechało na stację kolejową. Spotkaliśmy najbliższego sąsiada z rodziną Milewskiego, który był rządcą w majątku Kaftańskich. Dotarliśmy do stacji. Tu stały już wagony towarowe. Kazano nam załadować się. W naszym wagonie znalazły się cztery rodziny ale nie najbliższych sąsiadów, których ja nie znałem.

Po załadowaniu - można sobie wyobrazić jak to wyglądało - w jednym wagonie kilkadziesiąt osób z bagażami. Dzieci, starcy i dorośli mężczyźni i kobiety. Po jakim takim usadowieniu, każda rodzina w swoim narożniku - czekaliśmy. Po południu, a byliśmy już w wagonach zamknięci z zewnątrz, pociąg ruszył. Jechaliśmy w nieznane.

Na stacjach towarowych gdy osiągnął się zatrzymywał otwierano drzwi i pod ochroną jedna osoba z rodziny szła z wiadrem lub czajnikiem po wodę. Bo przecież trzeba było żyć i jeść. A jeść można było to, co kto zabrał. I tu okazało się jak przewidujący był ojciec.

Bo ten świniak poćwiartowany i drób pozwolił nam i nie tylko przetrwać te dwa tygodnie jazdy posiłkiem. W wagonie był mały żelazny piecyk, na którym gotowało się co było, a jednocześnie trochę ogrzewał.

Pilnować się tylko trzeba było aby się nie spalić razem z wagonem. Pociąg był długi z kilkadziesiąt wagonów. Nie wiedzieliśmy nawet w jakim kierunku jedziemy, bo na przystankach na stacjach towarowych nawet ci co szli po wodę nie mogli się dowiedzieć, stałe pod bagnetem

i rozmawiać z nikim nie było wolno. Co do nas docierało to to, że gdzieś po 10 - 12 dniach jazdy pociąg stawał się co raz krótszy, bowiem na niektórych stacjach odczepiano po parę wagonów. ~~OKAZAŁO~~ Po około dwóch tygodniach, zatrzymaliśmy się na stacji NIEJA. Zarządzono wyładunek i przeładowanie na sanie konne, których stały całe ~~szędy~~ ~~szędy~~. Tu muszę wtrącić przygodę z rowerem, bo jak poprzednio wspomniałem taszczyliśmy go dalej. Tu jednak w Nieji oświadczone, że nie wezmą na sanie, a ponad to uśmieiali się, gdzie wy tam będziecie jeździć rowerem. Jak się okazało mieli rację, bo ani ścieżek ani drózek nie było. Co było robić. Ojciec szybko zdecydował, że odda za jakieś wyżywienie. Znalazł się ktoś i dał kawałek słoniny, trochę chleba i torebkę kaszy. Po rozmieszczeniu na podwodach rodzin kolumna ruszyła za miasto w las. Jechaliśmy dość długo jak woźnica informował na m. Makariewo odległego od stacji Nieja około 50 km. Dotarliśmy po kilku dobrych godzinach, a muszę dodać, że mróz był trzaskający tak, że dla rozgrzewki biegliśmy za saniami, ale ostrzegano nas przed wilkami. Do Makariewa bez zatrzymywania się przejechaliśmy jak nas później poinformowano, przez zamarznąłą rzekę Unzję i jechaliśmy dalej około 10 km do punktu już przedostatniego tj, do Komsomolskiego Mechanicznego (z nazwy) Leśnego Punktu. Tu wyładowaliśmy się z san i podwoły odjechały. My załadowaliśmy się do wagonów kolejki wąskotorowej. Było około 50 rodzin i jechaliśmy do ostatniego naszego punktu około 10-12 km. Tym punktem było osiedle barakowe w lesie (sanie tam nie mogły dotrzeć bo nie było drogi kołowej) - kilkanaście baraków drewnianych bez wody, prądu i urządzeń sanitarnych. Baraki czterorodzinne, jedno pokojowe - jeden barak dla czterech rodzin. Toalety - latryny na zewnątrz, oświetlenia naftowe lampy, latarnie i po kilka żelaznych lub drewnianych łóżek. Rozdzielono pomieszczenia. Nam wyjątkowo udało się dostać - był taki układ w jednym baraku - jeden większy i jeden mniejszy pokój. W mniejszym zamieszkali rodzice w większym nas czwórka dzieciaków. Trzeba było sposobić się do nocnego snu, już nie jak w wagonie.

Na terenie przydzielonym Polakom nie było Rosjan. Był natomiast podoficer NKWD o nazwisku KUROCZKIN - nasz opiekun i on wszystkim zarządzał.

Kto znalazł się w naszej grupie na tym 135 Punkcie leśnym.

Kilku nauczycieli m.in. nasza nauczycielka ze szkoły Powszechnej w Siniawce p. Wierzbicka z mężem leśniczym, kilku osadników wojskowych jak mój ojciec, kilkunastu leśniczych i gajowych z lasów państw.